№ 22. Warszawa, 29 Maja 1908 roku. Rok I.

SPOŁECZEŃSTWO

Tygodnik naukowo-literacki, społeczny i polityczny.

Prenumerata: w Warszawie: z odnoszeniem do domu rocznie rb. 7 k. 60, Kwartalnie rb. 1 k. 90, Miesięcznie kop. 65. Numer pojedyńcz. — kop. 15. Z przesyłką pocztową: Rocznie rb. 9, Kwartalnie rb. 2 kop. 25. Numer pojedyńczy kop. 15. Za zmianę adresu — 22 kop.

„SPOŁECZEŃSTWO" wychodzi co piątek.

Red. i Administr. Żórawia 29 m. 2; Tel. 116 67.

OGŁOSZENIA po k. 10 za wiersz petitu. REKLAMY po tekście k. 30 za wiersz petitu. NADESŁANE na 1 stronicy przed tekstem po kop. 50 za wiersz.

Administracja otwarta od 10—2 i od 4—7—prócz świąt. W interesach redakcyjnych porozumiewać się można w soboty i wtorki o g. 2 — 3 p. p. Drobnych rękopisów nie zwraca się.

TREŚĆ NUMERU.

LISTY Z FRANCJI.

WYBORY GMINNE.

Wybory gminne odgrywają nader doniosłą rolę w życiu społeczno-politycznem Francji, nietylko dlatego, że rady gminne pozostając w bezpośrednim stosunku do mieszkańców tegoż okręgu wyborczego muszą mieć istotną pieczę nad ich interesami, ale też i z tej przyczyny, że tytuł radcy gminnego jest pierwszym szczeblem karjery politycznej, a parlamentarne stanowisko stronnictw wyciska silne piętno na zabarwieniu rad gminnych.

Paryż jako siedlisko rządu centralnego ze swą olbrzymią ludnością, dochodzącą do 2,700,000, ze swym 360-u miljonowym budżetem — przewyższającym dziesięć państewek europejskich, ze swą podwójną armją urzędników prefektury departamentu Sekwany i prefektury policji, stanowi jedyną w swoim rodzaju całość administracyjną. Radcy paryzcy, których jest 80-u stanowią $^4/_5$ rady jeneralnej departamentu Sekwany i z tego tytułu zajmują się interesami 4-o miljonowej ludności.

Na zasadzie prawa 1884 roku wybory gminne odbywają się w całej Francji co cztery lata w pierwszą niedzielę majową. Z ogólnej liczby 36,222 gmin:

	18,714 gmin		wybiera po	10 radców
	13,054 „		„ „	12 „
	2,470 „		„ „	16 „
	872 „		„ „	21 „
	830 „		„ „	23 „
	212 „		„ „	27 „
	24 gmin	(30—40 tys. mk.)	wybiera po	30 r.
	8 „	(40—50 tys. mk.)	„ „	32 „
	7 „	(50—60 tys. mk.)	„ „	34 „
	30 „	(powyżej 60 tys mk.)	„ „	36 „
wreszcie	1 Paryż		„ „	80 „

Ogółem przeto do godności radcy miejskiego czy gminnego powołanych zostaje 428,768 obywateli, z których każdy żywi nadzieję dojścia kiedyś do teki ministerjalnej, a przynajmniej do stanowiska deputowanego lub senatora.

Już na rok wcześniej myśl o zbliżających się wyborach sprowadza różne kombinacje, intrygi i kompromisy, jedni wysilają się na zjednywanie zwolenników, na pozór całkiem bezinteresownie, inni dokładają wszelkich starań aby wyciągnąć na jaw jakiekolwiek czyny hańbiące przypuszczalnych współzawodników w pogoni o mandat wyborczy, nawiązują się w tajemnicy różne warunkowe przymierza i handlarskie umowy, co oczywiście nie przeszkadza głosić uroczyście wszystkie humanitarne hasła i programy, zaklinać się na najgłębszą miłość ojczyzny i zapewniać o gotowości poświęcenia wszystkiego na jej ołtarzu. Każdemu wiadomo z doświadczenia, że w okresie wyborczym niema sprawy, któraby zdolną była poruszyć umysły, wszystko milknie niejako i chowa się pod ziemię, literatura, sztuka i nauka schodzą na plan drugi, o ile nie służą interesom wyborczym, nawet zbrodnie sensacyjne mniej miejsca zajmują w prasie. Uwagę ogółu pochłania wówczas kampanja wyborcza, której przebieg śledzą wszyscy namiętnie, jak gracze rzucający na stół monetę... I nie dziw! wszak to również szulerka tylko w innej formie, idzie o interesy pewnej klasy, a tem samem i osobiste... Ci, którzy do szaflika się dorwali, nie chcą dopuścić innych, rzucają im ochłapy i czule się uśmiechają, byleby nie stracić zdobytego stanowiska... Ileż na to trzeba zużyć nietylko siły, ale i przebiegłości, sprytu, podstępu!

Najwcześniej wystąpiła na plac bojowy zjednoczona partja socjalistyczna, wystawiając w samym Paryżu aż 59 kandydatów. W dn. 29 marca miało miejsce zebranie rady zarządzającej, na które stawiło się 115 delegatów, nie licząc przedstawicieli partji w parlamencie. Celem tego zjazdu było bliższe określenie taktyki wyborczej, zapadły przeto postanowienia następujące:

1) Kandydaci obowiązani będą przy pierwszem głosowaniu:

a) Posługiwać się w miejsce osobistej deklaracji programowym manifestem partyjnym z dn. 19 stycznia r. b.

b) Na zebraniach wyborczych objaśniać zasady socjalizmu i jego zastosowanie do spraw gminnych.

c) Stosować się ściśle do uchwał kongresów narodowych i międzynarodowych.

2) Odnośnie do kompromisów: zgodnie z postanowieniem kongresu międzynarodowego z 1900 roku przy pierwszym głosowaniu walczyć o ile możności bez kompromisów; jeśli zaś te są nieuniknione, baczyć by one nie sprowadziły sprzeczności z programem i taktyką; w żadnym zaś razie są niedopuszczalne, jeśliby zagrażały swobodom ekonomicznym i politycznym klasy robotniczej, lub też były przeciwne interesom partji i republiki społecznej.

3) Przy powtórnem głosowaniu, zgodnie z uchwałą kongresu krajowego w Châlon w 1905 r., decydują o taktyce wyborczej sekcje i federacje lokalne.

Wielki mityng socjalistyczny zwołany w Paryżu w dn. 7 kwietnia był niejako otwarciem okresu wyborczego, krytykowano działalność rady miejskiej, ustępującej i wykreślano plan ponętnych reform, jakie nowa rada wprowadzi, jeśli tylko wyborcy zechcą oddać swe głosy na socjalistów.

W d. 3 kwietnia pojawia się manifest stronnictwa *Alliance republicaine democratique* nawołujący do wybierania „republikanów" znanych i pewnych, szczerze przywiązanych do zasad i praw świeckich kraju, ożywionych duchem braterstwa wielkiej rewolucji, nieprzejednanych przeciwników z jednej strony — rewolucyjnego kollektywizmu, bratobójczej walki klas, anarchji i antypatrjotyzmu, z drugiej — reakcji szczerej czy obłudnej, klerykalizmu i fałszywego liberalizmu". Manifest ten zaleca kurtuazję w walce z przeciwnikami, ani słowem jednak nie zachęca do tworzenia „bloku" lewicy, wyraźnie bowiem zaznacza swe wrogie względem socjalizmu stanowisko. Nosi on podpis znacznej ilości senatorów i deputowanych, byłego prezydenta republiki — Loubet'a, oraz głowy partji — Adolfa Carnot.

W odmiennym duchu zredagowany jest manifest partji radykałów i złączonych z niemi socjalnych radykałów z dnia 9 kwietnia. Odrazu zaczynają oni, że pozostali wierni pierwszej koncepcji bloku, obejmującego całą lewicę, począwszy od „Alliance republicaine" aż do socjalistów kollektywistów, zastrzegają się jednak, że nie mają nic wspólnego z lewicą socjalistyczną, ze zwolennikami antypatrjotyzmu, dezercji, wojny domowej, strejku powszechnego i walki klas. Zapowiadają przeto, że zanim zdecydują się popierać przy drugiem głosowaniu kandydata socjalistycznego, zadadzą mu kategoryczne pytanie: czy jest on przeciwnikiem ojczyzny jak Hervé i zwolennikiem wojny domowej w duchu Powszechnego Związku Pracy. Zadaniem bloku winno być usunięcie z rad gminnych fałszywych republikanów, rzekomych demokratów, nacjonalistów i monarchistów.

Pod manifestem tym podpisani: Delpech, Cruppi, Lafferre, Sarrant, Steeg, Bouvely, Roussel i wielu innych, którzy reprezentować mają 100.000 członków partji. Jednocześnie pojawił się manifest progresistów, zgrupowanych pod nazwą *Fédération republicaine*, na czele której stoi deputowany Thierry, a za nim Ch. Dupuy, Mèline, Ribot, Preret, Andiffred, Motte i t. p. Głoszą oni: „partja nasza jest partją postępu, nie cofamy się przed reformami solidarności społecznej, pozostając wierni ideom porządku, wolności i dobrej administracji finansowej. Obdarzcie zaufaniem republikanów przeciwników reakcji i rewolucji, wybierajcie tych których szczerość, bezstronność i uzdolnienie dają gwarancję". Wreszcie 14 Kwietnia ukazał się manifest „niezależnych socjalistów", do których przyłączyło się kilkudziesięciu radykałów socjalnych oraz sześciu socjalistów, należących do partji zjednoczonej, ogółem 137-miu deputowanych. Nawołują oni gorąco do łączności partji lewicowych ze względu na doniosłość tych wyborów gminnych, wybrani bowiem przedstawiciele będą mieli ważne zadanie w 1909 i w 1912 r. wyboru senatorów, a odnowienie senatu w duchu radykalnym jest niezbędnem do przeprowadzenia zapowiedzianych reform społecznych.

Jak widzimy z powyżej przytoczonych manifestów, wszystkie partje nie szczędzą obietnic i szafują

OKTAWJUSZ MIRBEAU.

OGRÓD UDRĘCZEŃ.

(Ciąg dalszy.)

Zapytałem drżącym głosem:

— Czy gniewasz się na mnie Klaro? Czy mną pogardzasz?

Odpowiedziała niecierpliwie:

— Ależ nie! Nic podobnego... mój kochany! Proszę cię — milcz. Nie wiesz, jak mnie to męczy...

Upierałem się.

— Tak! tak! Widzę, że mną pogardzasz! To okropne! Płakać mi się chce!..

— Boże! — jak ty mnie drażnisz! Milcz... i płacz sobie jeżeli chcesz... Ale milcz!..

Ponieważ szliśmy właśnie koło tego miejsca, gdzieśmy rozmawiali byli ze starym katem — zacząłem mówić, sądząc że wywołam swym głupim uporem uśmiech na martwe wargi Klary:

— Pamiętasz tego grubego gadułę, kochanie moje!.. Jaki on był śmieszny w swem pokrwawionem ubraniu, ze swym futerałem i czerwonemi palcami? A jego teorje o płci kwiatów... Pamiętasz? Nieraz potrzeba dwudziestu samców na jedną samicę...

Tym razem odpowiada mi ze wzruszeniem ramion... Nie raczy nawet się niecierpliwić...

Wtedy objęty grubiańską chucią, rzucam się niezgrabnie na Klarę, staram się ją porwać w uściski, chwytam ją brutalnie za piersi.

— Pragnę cię... tu, słyszysz, w tym ogrodzie... w tej ciszy... u podnóża tych szubienic...

Głos mój zadyszany... Z ust toczy mi się piana i padają słowa bezwstydne, które ona tak lubi!

Klara wysuwa się stanowczym ruchem z mego ciężkiego i niezgrabnego uścisku. Mówi głosem, w którym jest gniew, ironja, zmęczenie i rozdrażnienie:

— Ach, gdybyś wiedział, jakiś ty natrętny, dokuczliwy i śmieszny, biedny mój przyjacielu. Jesteś plugawy kozieł! Daj mi spokój! Za chwilę znajdą się dziewczyny, u których będziesz mógł zaspokoić swe brudne chuci... Doprawdy... okropnie jesteś śmieszny!

— Śmieszny! Tak! Czuję, żem śmieszny... Staram się uspokoić... Nie chcę gwałcić jej milczącego nastroju, jak gwałci ciszę nocy księżycowej ciężki kamień, gdzie śpią łabędzie.

X.

U przystani więziennej czekała na nas szalupa, oświetlona czerwonemi latarniami. Za linę trzymała chinka o twarzy surowej. Ubrana była w bluzę i czarne jadwabne pantalony. Na nagich rękach miała ciężkie obręcze złote, w uszach szerokie złote koła.

Klara wskoczyła do łodzi, ja za nią.

demokratycznemi frazesami, byleby przeprowadzić swoich kandydatów a tem samem swoje interesa. Wyraz „radykał“, jak słusznie dowodzi Allard, jeden z najświatlejszych umysłów pomiędzy deputowanymi socjalistycznymi, nic dziś nie mówi, bo pod tym epitetem kryją się najprzeróżniejsze przekonania, częstokroć najwsteczniejsze. Clemenceau i Manjan mienią się radykałami, a przecie żaden szczery socjalista nie mógłby głosować za tymi dwoma wrogami klasy robotniczej, obrońcami kapitalizmu. To właśnie, że radykali, doszedłszy do władzy, niczem się nie różnią od oportunistów, musiało wpłynąć na utrudnienie kompromisów wyborczych pomiędzy radykałami a socjalistami. Oczywiście, w obozie radykałów nie panuje absolutna jedność myślenia, jedni bowiem niechętnie odnoszą się do reform i walczą zawzięcie przeciw socjalizmowi, drudzy pragną wprowadzić w życie owe reformy i gotowi są wejść w porozumienie z socjalistami; organem tych ostatnich jest „Rappel“, który nie objawia entuzjazmu dla ekspedycji marokańskiej i nie pali kadzideł dla polityki Clemenceau, ale działalność ich w parlamencie sprowadza się do zera.

Nie dziw więc, że taka sytuacja wypadła korzystnie dla reakcjonistów wszelkiego gatunku i nacjonalistów.

Skoro po pierwszem głosowaniu w d. 3 maja zachwiane zostało stanowisko aż 5-u kandydatów Zjednoczonej Partji Socjalistycznej, byłych radców (z pomiędzy 13-u ubiegających się powtórnie o mandat) oraz 9-u radykałów (z pomiędzy 20-u), widocznem było, że jest to rezultat rozpadania się dawnego bloku.

I w istocie: z jednej strony pojawił się manifest partji socjalno-radykalnej wzywający nader jasno do odrzucenia kandydatów propagujących zasady socjalizmu, a z drugiej Zjednoczona Partja Socjalistyczna wydała rezolucję, że „będąc w niemożebności — od chwili gdy reakcja pod postacią radykalizmu doszła do władzy — odróżnić pomiędzy kandydatami burżuazyjnymi tych, którzy najmniej wrogo są usposobieni względem klasy robotniczej, wycofuje swoich kandydatów wszędzie tam, gdzie bez kompromisów wybór ich nie dałby się zapewnić“.

Ostateczny przeto rezultat wyborów był następujący: do rady miejskiej Paryża weszło:

10 socjalistów zjednoczonych, 12 socjalistów niezależnych, 21 radykałów, 12 republikanów umiarkowanych i 25 reakcjonistów (nacjonaliści i konserwatyści). W porównaniu ze składem rady poprzednim: socjaliści zjednoczeni stracili trzy mandaty, radykali pozyskali jeden, nacjonaliści pozyskali dwa, reszta pozostała bez zmiany.

Prowincja przedstawia się w następujący sposób: na 36,150 gmin wyszło rad gminnych: 164 socjalistycznych zjednoczonych, 184 socjalistycznych niezależnych, 8,743 radykalnych, 10,775 republikańskich umiarkowanych, 16,082 w rękach progresistów, reakcjonistów i nacjonalistów (co do 238 — rezultat nieokreślony).

Oczywiście, błędnem byłoby wnioskować stąd o cofaniu się wstecz, z jednej bowiem strony ilość głosów socjalistycznych wzrosła (w samym Paryżu z 95,164 do 105,461) z drugiej zaś strony coraz większą jest ilość wyborców, nie biorących udziału w głosowaniu, zrażonych bezpłodnością parlamentaryzmu. W 1904 r. w Paryżu nie brało udziału w głosowaniu 137316 wyborców (na 585,264), w roku bieżącym było takich 143173 (na 589273 wyborców), tak iż wielu z pomiędzy wybranych radców nie miało nawet połowy ogólnej ilości wyborców swego okręgu.

Iza Zielińska.

PIERWSZY WSZECHROSYJSKI ZJAZD KOOPERACYJNY W MOSKWIE.

Sekcji drobnego kredytu przewodniczył prof. Ancyferow. Możnaby ją nazwać włościańską, ponieważ przeważnie składała się ona z delegatów włościan, zainteresowanych bezpośrednio sprawą stworzenia taniego i dogodnego kredytu, bez którego niepodobna im się obejść, aby utrzymać się na swych gospodarkach i uniezależnić od t. zw. „kułaka“ we wsi rosyj-

---

— Dokąd was odwieźć? — spytała chinka po angielsku.

Klara odpowiedziała głosem urywanym i drżącym:

— Gdzie chcesz... mniejsza o to... na rzekę... wiesz przecie...

Spostrzegłem, że była wtedy bardzo blada... Drżące nozdrza, wydłużone rysy, błędne oczy świadczyły o cierpieniu. Chinka pokiwała głową.

— Tak! tak! Ja wiem — rzekła.

Wargi jej były grube i zżarte betelem, spojrzenie zwierzęco-twarde i okrutne. Wymruczała jeszcze kilka słów, których nie zrozumiałem.

— Milcz, Ki-Paï! — rzekła Klara rozkazująco i ostro — i rób, co ci każę... Brama miejska już przecie zamknięta.

— Brama ogrodu otwarta...

— Rób, co ci mówię...

Chinka odepchnęła łódź silnym ruchem i ująwszy wiosło zaczęła wiosłować mocno i wprawnie. Pomknęliśmy po wodzie.

Noc była cicha i miła. Powietrze było ciepłe, lecz oddychało się lekko. Woda pluskała pod dziobem szalupy. Rzeka miała wygląd świąteczny.

Na przeciwległym brzegu, na prawo i na lewo, kolorowe latarnie oświetlały maszty, żagle, pomosty licznych statków. Leciał stamtąd gwar — krzyki, śpiewy, muzyka — zgiełk hulającej tłuszczy. Woda była czarna, matowo aksamitnie czarna. Tu i owdzie chwiały się nieme czerwone i zielone odbicia latarni szalupowych... Statki bróździły fale we wszelkich kierunkach. Na ponurym widnokręgu piętrzyło się w mroku dalekie miasto, wznosząc się tarasami. Jasno oświetlone domy żarzyły się w obramowaniu ciemnych drzew. Miasto wyglądało jak ogromne czerwone ognisko... jak góra płomienna.

Im bardziej oddalaliśmy się od więzienia, tem bardziej wysokie jego mury zacierały się w mroku. A obracające się latarnie morskie rzucały z wież strażniczych przy każdym obrocie na wodę i murawę snopy oślepiającego światła.

Klara weszła pod baldachim, który nadawał barce wygląd cichego buduaru, obciągniętego jedwabiem i pachnącego pieszczotą... Odurzające zapachy dymiły ze starego naczynia misternie urobionego z żelaza. Naczynie wyobrażało słonia, naiwnie stylizowanego. Jego cztery grube masywne nogi opierały się na delikatnie rzeźbionych splotach róż. Na obiciu — wspaniałe obrazy, sceny śmiałe i lubieżne, wykonane nadzwyczaj artystycznie i szczegółowo. Fryz baldachimu — wyrzeźbiony z drzewa kolorowego — był dokładną kopją fragmentu dekoracyjnego z podziemnej świątyni Elefanty. Była to część tych ozdób, które archeolodzy zgodnie z tradycjami bramińskiemi nazywają wstydliwie: „Związek Wrony“. Szeroki i gruby materac, obciągnięty haftowanym jedwabiem, zajmował środek barki. Z sufitu zwisała latarnia z kryształami o kształcie pahllusów, napół ukryta w orchideach. Zlewała ona w barkę tajem-

skiej. Przeczytano w tej kwestji kilka referatów, z których na wyróżnienie zasługują: Bondarewa, „O sposobach zabezpieczenia pożyczek, wydawanych przez kredytowe i pożyczko-oszczędnościowe towarzystwa“; Katajowa — „Operacje „bankowe“ w kredytowych i poż.-oszczęd. towarzystwach“; „Krótkoterminowy kredyt w Banku Państwa dla instytucji drobnego kredytu“; Kiernożyckiego — „Kaucje, fanty i poręczycielstwa“; Dzierżanowskiego inspektora inst. dr. kred. z Płocka i nakoniec Kułyżnago — „Wyznaczanie pożyczek i kredyt wytwórczy“. Oprócz tego wysadzono specjalną komisję, która pod przewodnictwem znanego profesora ekonomji, Żeleznowa zajęła się specjalną kwesją Banku Kooperacyjnego, rozciągającego swą działalność na całe Imperjum. Referent tej Komisji, prof. Ancyferow, zdając sprawozdanie w Sekcji w tej sprawie, stwierdził, iż czysto-kooperacyjny bank centralny może znaleźć grunt pod nogami wówczas dopiero, jeżeli opiera się na całej sieci instytucji kredytowych i ich zrzeszeniach okręgowych. Zważywszy, iż w Rosji dotąd niedostatecznie rozwinęły się kooperatywy kredytowe, Komisja uznała za przedwczesne urządzanie Banku Kooperacyjnego. Jednak, odstępując od zamiaru stwarzania Centralnego Banku na zasadach kooperatystycznych, komisja uważa za konieczne i możliwe urządzenie Banku o mieszanym charakterze, na który złożą się kapitały kooperacyjnych instytucji i prywatnych osób. Aby zabezpieczyć pierwiastek kooperacyjny i nie dać przewagi osobom prywatnym nad kooperatywami, Komisja proponuje pewne ograniczenia i ramki, w jakie zostanie ujęty ten Bank.

Wniosek Borodajewskiego, traktujący, o kwestji urządzenia Centralnego Banku *rządowego*, został przez Sekcję odrzucony.

W sekcji gospodarstwa wiejskiego prezydjum składało się z profesorów: Bażajewa i Fortunatowa i b. agronoma gubern. Ziemstwa Moskiewskiego, Szatiernikowa.

Tu przeważają inteligenci. Włościan, jak na lekarstwo. Kilkunastu studentów instytutu gospodarczego przysłuchiwało się debatom, które często nosiły charakter gorący. Ściany sali, w której Sekcja zasiadła poobwieszane tablicami porównawczemi i wszelkiego rodzaju rysunkami, ilustrującemi racjonalne gospodarstwo wiejskie.

Osią, koło której się obracała się dyskusja, była *„obszczyna“* i *prawo z 9 Listopada.*

Ideje „narodników“ jeszcze głęboko tkwią w rosyjskiej inteligencji. Kiedy prof. Bażajew, w swoim referacie, dotknął się tylko niektórych defektów spólnoty, jako związku, opartego na stanowości i przymusie i kiedy skonstatował przy tem, że spólnota nie wszędzie w Rosji zachowała swój charakter życiowy, to replikował mu zaraz prof. Kabłukow, stając w obronie „obszczyny“. P. Kabłukow podkreślił przy tem, iż w „obszczynnej“ Rosji bardziej celową rzeczą jest zwracać się do całego „miru“[1]) z jakąś nową nauką agronomiczną, aniżeli do towarzystw gospodarstwa wiejskiego, które obejmują ograniczone tylko Koło włościan. Nieprzeczy to wcale temu, by i kooperacyjne towarzystwa nie miały przyłożyć swojej ręki do podniesienia gospodarki włościańskiej.

Prawo z 9 Listopada — o *wyjściu ze spólnoty* — u nikogo nie znalazło przychylnego przyjęcia, co jest rzeczą zupełnie naturalną, a nawet konieczną w stosunku do podobnych eksperymentów kancelaryjnych.

Z referatów należy wspomnieć: Jonowa — „O kooperacji na wsi“; Kraińskiego — „O towarzystwach gospodarstwa wiejskiego“ i T-wa „Samopomoc“ „O zniesieniu szachownicy drogą wspólnej uprawy gruntów“.

Delegaci syberyjscy mówili o swoich maślarniach, opartych na zasadach arteli. Posiadają oni swój związek, obejmujący 60 artel, robiący obrotu 160 tys. rb. Związek ma swój magazyn, wydaje gazetę i t. d. Kładli oni nacisk na fakt, że maślarnie ich artelne poczęły się rozwijać jednocześnie z rozwojem samodzielności wśród ludności.

Z nielicznych głosów włościańskich, jakie się dały słyszeć, widać, że na wsi powstaje coraz większy ruch, że włościaństwo szuka wyjścia ze swego niemożliwego położenia i że w kooperatywie widzi jeden ze środków polepszenia swej doli. Zaczęło się to od

[1]) Gromady.

---

nicze półświatło, nadające jej pozór sanctuarjum lub alkowy.

Klara rzuciła się na poduszki. Była nadzwyczajnie blada, ciało jej drżało w nerwowych spazmach. Dotknąłem jej rąk. Były zimne jak lód.

— Klaro! Klaro! — mówiłem błagalnie. — Co tobie? Co cię boli? Powiedz!..

Odpowiedziała mi głosem ochrypłym, który z trudnością wydzierał się z jej ściśniętego gardła:

— Daj mi spokój... Nie dotykaj mnie... nie mów nic... Jestem chora.

Jej bladość, bezkrwawe wargi i głos chrypliwy przeraziły mnie. Myślałem, że umiera... W przestrachu zawołałem na pomoc chinkę:

— Prędzej! Prędzej! Klara umiera! Klara umiera.

Ki-Paï rozsunęła firanki i ukazawszy swą twarz złośliwej chimery, wzruszyła ramionami i zawołała brutalnie:

— To nic... Tak bywa zawsze... za każdym razem, kiedy powraca stamtąd.

I złorzecząc wróciła do wiosła.

Popchnięta silniej barka pomknęła prędzej po wodzie. Spotykaliśmy dużo łodzi jak nasza. Z poza zasuniętych firanek baldachimów biegły śpiewy, odgłosy pocałunków, śmiech, namiętne jęki. Fale rzeczne pluskały, zdaleka dźwięczały stłumione tamtamy i gongi... Po kilku minutach byliśmy już u przeciwnego brzegu i długo płynęliśmy koło promów czarnych i opuszczonych lub koło rzęsiście oświetlonych i pełnych ludzi. Były to podrzędne garkuchnie, herbaciarnie dla tragarzy, zamtuzy dla majtków i portowego motłochu. W oświetlonych oknach i oścież ach migały naróżowane twarze, postaci przegięte w lubieżnych tańcach, wyjących dziko rozpustników, opojonych palaczy opium...

Klara nie widziała nic, co się dzieje w barce i na rzece. Twarz miała wtuloną w poduszkę, którą gryzła. Chciałem, aby powąchała sole. Trzy razy odsuwała flakon zmęczonym ciężkim ruchem. Szyję miała obnażoną, obie piersi wychyliły się z rozerwanego stanika, wyciągnięte nogi drżały jak struny skrzypiec... Oddychała z trudnością.

Nie wiedziałem co robić i co mówić. Nachylałem się nad nią z duszą pełną udręki, tragicznej rozterki i pomieszania. Aby się przekonać, że to kryzys przejściowy, że życiu jej nic nie grozi — chwyciłem ją za ręce. Puls jej bił mi w ręku prędko, lekko, regularnie jak serce ptaka lub dziecka. Czasem wzdychała głęboko i boleśnie, a pierś jej wznosiła się i wzdymała różową falą. Szeptałem do niej cichutko drżącym, tkliwym głosem:

— Klaro!.. Klaro!.. Klaro!..

Nie słyszała mnie ani widziała, z głową ukrytą w poduszcze. Kapeluszześliznął się z jej głowy i złocisto-czerwone włosy w blasku latarni nabrały odcienia

chwili — jak się wyraził delegat z Saratowskiej gub. Kiedy chłop zrozumiał, że „nie niebo rodzi, a ziemia".

Sekcja IV-ta — wytwórczych artel, której przewodniczył znany organizator arteli w Rosji, Lewickij, zajęła nieco odosobnione stanowisko od reszty Zjazdu i najwięcej poświęciła czasu zagadnieniom teoretycznej natury, choć trzeba podkreślić, że podjęła ona jednocześnie takie praktyczne kwestje i bolące, jak choćby sprawę bezrobotnych.

W sekcji tej najwięcej skupiło się młodzieży, składającej się z robotników, rzemieślników i subjektów. Kilku inteligientów i kilku delegatów w podeszłym wieku dopełniło całości audytorjum.

Po za teoretycznemi rozprawami nad kwestją, czy ma rację bytu artel przy współczesnym ustroju kapitalistycznym, zwróciła największą uwagę i wywołała najgorętszą dyskusję kwestja arteli w Rosji i sprawa bezrobotnych.

O arteli w Rosji referował Lewickij. Stary weteran z młodzieńczą siłą i entuzjazmem kreślił dzieje arteli w Rosji. Uważa on artel za zjawisko, sięgające do samych podstaw bytu rosyjskiego narodu. Nie zważając na wszelkie przeszkody i na szykany ze strony władz, rozwija się ona i krzepnie. Pewien np. „isprawnik" motywował zamknięcie arteli tym, że „tu nie Ameryka, a Rosja". Uważając artel za zjawisko wielce życiowe, wywołane przez same warunki bytu, referent stwierdza, iż zawiera ona wszystkie pierwiastki życia i dane dla dalszego rozwoju. Zadaniem inteligiencji i wogóle świadomy udział społeczeństwa winien dążyć w tym kierunku, by tchnąć, w ten owoc twórczości narodowej, element ogólno-ludzkiej idei kooperatystycznej i przyłączyć go do wszechświatowego ruchu kooperacyjnego, mającego na celu wytworzenie nowych form organizacji pracy i życia wogóle.

Kooperatywa wytwórcza może istnieć i rozwijać się przy następujących dodatnich warunkach: 1) w związku i przy podtrzymaniu przez drugie kooperatywy (spożywcze, kredytowe i poż.-oszczędnościowe); 2) jeżeli podtrzymają ją *Związki Zawodowe*, które mogą być zarazem regulatorem w tym znaczeniu, że będą strzedz, by zachowała ona charakter społeczny; 3) przy organizacji zrzeszeń artelnych i kredytu dla nich, oraz przez usunięcie wszelkich szykan i przeszkód, jakie stawia na ich drodze rząd, inaczej t. zw. administracja. Organizowanie arteli wytwórczych ma wielkie znaczenie w sprawie przyjścia z pomocą bezrobotnym.

W gorącej dyskusji, jaka wynikła po tym referacie, doszło aż... do zmiany prezydjum. Ścierały się z sobą dwa obozy: z jednej strony „narodnicy", bezwzględni zwolennnicy arteli, z drugiej — wrogo odnoszący się do niej, marksiści. Przewagę otrzymali pierwsi; wnioski Lewickiego zostały w całości przyjęte.

Sprawę bezrobotnych przedstawił w jaskrawych barwach delegat petersburski, Małyszew, w referacie „Bezrobotni i kooperacja". Narysował on ciężką i ponurą kartę doli proletarjatu petersburskiego, pozbawionego pracy. Znikąd pomocy. Wszelką inicjatywę, jaka wychodziła z łona samego proletarjatu, by ratować się, zduszono. Rada miejska już dawno zaprzestała się „bawić" w urządzanie robót publicznych.

Obecnie grupa, jaka się wyłoniła z postępowej części społeczeństwa, powzięła myśl stworzenia funduszu dla urządzenia kooperatyw wytwórczych dla dotkniętych bezrobociem. W Petersburgu właśnie powstaje taka kooperatywa ślusarsko-mechaniczna.

Oprócz środków, jakie niezbędne są dla wprowadzenia w życie tych kooperatyw konieczna jest jeszcze sympatja społeczeństwa. Opinje społeczeństwa może w dostatecznej mierze wyrazić Zjazd, przez wypowiedzenie swojego miarodajnego zdania o kooperatywach wytwórczych dla pozbawionych pracy.

Myśl ta nie znalazła zasadniczych przeciwników, owszem, cały szereg mówców, z Lewickim na czele, gorąco ją poparł, wskazując, że organizowanie kooperatyw wytwórczych dla bezrobotnych jest obecnie jedynem niemal wyjściem i w innych miastach w Państwie, w których liczba robotników, dotkniętych bezrobociem, z każdym dniem coraz więcej wzrasta.

Sekcja w końcu wypowiedziała się, że jakkolwiek stały brak pracy, dla pewnej części proletarjatu, związany jest z obecnym ustrojem kapitalistycznym i zniknąć może razem z upadkiem tego ustroju, to jednak koniecznością jest rozpoczęcie natychmiasto-

---

starego mahoniu. Z pod sukni widać było jej nogi, ubrane w żółte trzewiki, na których tu i owdzie były jeszcze ślady krwawego błota.

— Klaro!.. Klaro!.. Klaro!..

Nie słychać nic prócz plusku rzeki i dźwięków dalekiej muzyki. Z pomiędzy firanek baldachimu widnieje spiętrzone wyzoko, pałające ogniście straszliwe miasto. A bliżej wirują i kręcą się refleksy czerwone i zielone podobne do świetlistych węgorzy, pogrążających się w czarny nurt rzeki.

Łódź stuknęła o coś... Chinka woła... Przybijamy do długiego tarasu, oświetlonego rzęsiście.., Huczy na nim od muzyki i gwaru... To barka kwiatowa.

Ki-Paï przymocowała nasz statek do żelaznych haków u schodów, kąpiących w wodzie swe czerwone stopnie. Na szczycie masztów paliły się dwie ogromne okrągłe latarnie i powiewały żółte chorągiewki.

— Gdzie jesteśmy? — zapytałem.

— Tam, gdzie kazała mi jechać — odparła Ki-Pai opryskliwie. Tam, gdzie zwykle spędza noc, wracając stamtąd...

— Czy nie lepiej byłoby odwieźć ją do domu?.. Jest przecie chora...

Ki-Paï odparła:

Zawsze tak bywa, ilekroć odwiedzi więzienie. A prócz tego bramy miasta są zamknięte, a powracać przez ogrody to zbyt daleko i teraz zbyt niebezpiecznie.

I dodała wzgardliwie:

— Jej tu jest bardzo dobrze... Ją tu znają!..

Musiałem się zgodzić.

— Pomóż mi — rzekłem. I niej bądźże tak grubiańska...

Pomału, z nieskończoną ostrożnością, wzięliśmy, ja i Ki-Paï, pod ręce Klarę. Nie stawiała oporu, ledwie że szła jak umierająca. Z wielką trudnością podtrzymując ją, a raczej niosąc, wyszliśmy z barki i weszli na schody. Ciało jej było ciężkie i lodowate... głowa opadła w tył. Gęste miękkie włosy rozplotły się zupełnie i spływały po ramionach płomienną falą. Miękką omdlałą ręką otoczyła twardą szyję Ki-Pai i skarżyła się stękając, mruczała coś niezrozumiale jak dziecko. A ja dysząc ciężko od ciężaru jej ciała jęczałem:

— Oby tylko nie umarła! Boże mój! Oby tylko nie umarła!

A Ki-Paï odpowiadała z zuchwałem szyderstwem:

Umarła! Ona! No proszę... Ależ to wcale nie choroba: to rozpusta śprośna rozpusta!..

Na wierzchu schodów przyjęły nas dwie kobiety o podmalowanych oczach. Udrapowane były w przejrzyste lekkie osłony, po przez które złociła się ich nagość. (*C. d. n.*)

wej walki z zaostrzonem bezrobociem, które przyjmuje w obecnej chwili rozmiary katastrofy narodowej. Dla tego sekcja uważa, iż należy przystąpić natychmiast do zorganizowania robót, dla pozbawionych pracy, przy szerokiej pomocy państwa, miejskich i ziemskich samorządów, oraz całego społeczeństwa, lecz nie na zasadach filantropijnych, a na demokratycznej zasadzie samodzielności mas bezrobotnych. Uznając, iż dla dania pracy bezrobotnym na tej zasadzie odpowiada najwięcej organizacja kooperatyw wytwórczych, według profesyj bezrobotnych, większość Sekcji wypowiedziała się za koniecznością stworzenia funduszu społecznego na ten cel i natychmiastowego zebrania go z funduszów obecnie istniejących: spożywczych, kredytowych i wytwórczych organizacji kooperacyjnych, zwracając jednocześnie uwagę rządu i samorządów miejscowych na konieczność organizowania i z ich strony tych robót, dla pozbawionych pracy, na wyżej wyłuszczonej zasadzie.

W sobotę, 19/2 Maja, odbyło się kolegjalne zebranie wszystkich czterech sekcyj. Przewodniczył prezes Zjazdu p. Posnikow. Przedmiotem wspólnych obrad była kwestja wzajemnego stosunku do siebie kooperatyw, ich zrzeszeń i zjazdów.

Zebranie przyjęło, po długiej dyskusji, ogólnej natury rezolucję, która brzmi: „W celu racjonalnego i przyśpieszonego rozwoju ruchu kooperacyjnego w Rosji, przy współczesnych warunkach, jest pożądaną *ścisła łączność* między wszystkiemi kooperatywami".

III.

Jak już wiadomo czytelnikom, Zjazd nie dobiegł do końca. Był zmuszony sam przerwać swoje prace. Domagania się i żądania policji stały się powodem tego.

Najpierw precedensem dla policji posłużyły obrady komisji, o położeniu pracowników i robotników w kooperatywach, o 8 godz. dniu roboczym i święceniu 1 Maja. Następnie policja zażądała zdjęcia niektórych, niemal najważniejszych, kwestji z porządku dziennego. Prezydjum otrzymało polecenie od naczelnika miasta, aby niedopuścić pod obrady takich spraw, jak kwestja stworzenia Centralnego Organu, łączącego organizacje koeperacyjne; sprawa stosunku wzajemnego do siebie kooperatyw i Związków Zawodowych i kwestja koordynacji działalności kooperatyw i Związków Zawodowych. Z tego powodu nie odbyło się drugie z kolei Ogólne Zebranie Zjazdu, jakie miało mieć miejsce w niedzielę rano, 20/3 Maja. Ogólne zebrania, na których miały być przedyskutowane i przyjęte rezolucję i uchwały Zjazdu. Lecz i te nie odbyły się. Otrzymało bowiem prezydjum nową „bumagę", wzbraniającą ogłoszenie wszystkich tych uchwał, jakie zostały przyjęte w danych sekcjach, które traktują o zjednoczeniu Organizacji Kooperacyjnych.

Po długich naradach prezydjum i oczekiwania zebranych na otwarcie Zgromadzenia, nareszcie koło godziny 2-ej 21/4 Maja przewodniczący, Prokopowicz, oświadczył zebraniu, że prezydjum nie mogło się zgodzić na obcięcie porządku dziennego, jak również nie może się zgodzić na ogłaszanie jednych uchwał, a milczeć o drugich, wobec ich organicznego związku między sobą. Dla tego to nic więcej nie pozostaje, *jak przyjąć bez dyskusji i odczytania* wszystkie uchwały i rezolucje, przyjęte w Sekcjach i Komisjach Zjazdu, podziękować Komitetowi Organizacyjnemu za jego pracę i starania i żywić nadzieję ponownego zebrania się na Drugi Wszechrosyjski Zjazd Kooperacyjny, przy lepszych i znośniejszych warunkach.

W odpowiedzi rozległy się szumne oklaski...

Tak się skończył Pierwszy Wszechrosyjski Zjazd Kooperacyjny. *Lud. Dar.*

PRZEKLĘTY WYCHOWAWCA.*)

Przeklęty, albowiem nie uczył kochać!

Przeklęty, gdyż z ust jego nigdy nie wyszły słowa przejmujące dreszczem świętym, jak Nieskończoność, Wieczność, Absolut, słowa świadczące, iżby miłość w nim była, choć jak sen, jak tęsknota!

Przeklęty — nie pojął duszy naszej a rządzić nią zapragnął. Wzgardził prawem abstrakcji najwyższej, wieczystem źródłem energij Słowian — nas, poddanych jedynie prawu nieskończoności, chciał uczynić nędznymi kreaturami prawa przyczynowości.

Przeklęty on, który pomyślał, iż niegodnemi narzędziami doświadczenia empirycznego powstrzyma olbrzymów, z cierniowych doświadczeń metafizycznych zrodzonych.

On, który zwątpił w wszechmoc ducha ludzkiego i zakreślił granice poznaniu. On, twórca ludzi drobnych, o konstrukcji mozaikowej, on, zagłuszający brutalnym marszem faktów obszarpanych muzykę nieskończoności, on „popioły", „próchno", „bagienko", „upiory", on, „dzieje grzechu"... przeklęty...

Przezeń utraciliśmy moc; przezeń pękła złota nić jedności między nami a wszechświatem. Z celów wszechświata uwzględniwszy, coprawda, jeden — wzrost Świadomości zasypał go wnet kurzawą analizy, ośmieszył, zdeprawował. Ani bowiem nie oczyścił, nie uświęcił żadnego momentu przeszłości, ani też nie wytworzył nowych, szczerych stanów duszy. Przeciwnie, najjaśniejsze postacie ducha naszego pohańbił, dusze zaś nasze rozbestwił.

Tak, rozbestwił. Literaturę oddzielił od prądów wieczności. Życie sprowadził do interesu, pod którego sztandarem dają się doskonale przewozić najrozmaitsze teorje — od ascetyzmu do bandytyzmu.

Człowieka sprowadził do zera, do niewolnika, do marzeń ściętych głów.

Gdzież człowiek przezeń wykształcony, a mający poczucie swej indywidualności t. zn. Swej odrębności nieskończonej i swej twórczości bezgranicznej.

Gdzie rozwiązanie problematu indywidualizmu?

Gdzie pogodzenie rozumu z sercem? Gdzie przepiękne przymierze rozproszonych gwiazd uduchowionego świata?

Gdzie człowiek?.. gdzie...

Ot — tam! Patrzcie — idzie ostrożnie, liczy się z każdym faktem. A więc ubrany mniej więcej modnie, kłania się mniej więcej grzecznie, patrzy mniej więcej przed siebie. Idzie mniej więcej środkiem chodnika. Lubuje się w masie, znika więc nam wkrótce z oczu. Przed nami tylko masa, szara, pospolita masa faktów, wśród której znikł już on, pozytywista.

Ten atoli spokojny mniej więcej człowiek jest straszny.

Jego miłość do kobiety będzie musiała doprowadzić do zbrodni, do znieprawienia do „Ewy". W kobiecie bowiem będzie on widział jeno masę szczegółów, i gdy wyczerpie wszystkie na powierzchni jej ciała widzialne, wtedy weźmie nóż i nożem do serca wejdzie.

Jego miłość do narodu będzie nieszczęśliwa, — gdyż i w narodzie dojrzy on tylko masę faktów i miasto podnieść go, wynarodowi go, sprowadzi do zwykłej miary szablonu, do absurdu, do demokracji postępowej,

---

*) Artykuł ten zamieszczamy jako impresje pewnego odłamu dusz współczesnych, pozostawiając autorowi odpowiedzialność za szczegółowe myśli w artykule wyrażone. (*P. R.*)

jakgdyby mogła istnieć realnie demokracja niepostępowa. Nadto, gdy nawet wobec dawnych tez naukowych masa i ruch były zasadniczo różne, widząc przeto w narodzie przedewszystkiem masę, pozbawi go ruchu, i powstanie coś zeń martwego, coś wysoce wstecznego, coś po za romantyzmem, coś może mutatis mutandis z epoki Sasów, coś bez celu i bez środków, bez nóg i bez głowy.

I tenże kult masy faktów ujaskrawi się w uczniach jego. I jedni poczną wydawać pisma literackie o budowie chaotycznej, o mieszaninie wszystkiego, aby tylko więcej, więcej, najwięcej było fakcików, drudzy zaś, utraciwszy wiarę w jakąś moc bezwzględną, pójdą śladami hrabiego Płazy-Spławskiego.

I losy naszego społeczeństwa staną się dziejami „Ewy“...

Źródłem zaś tych dziejów okropnych będzie on, „dzierżący Warszawę za łeb“ w ciągu lat trzydziestu, on mistrz, on przeklęty!

On, Niepołomski...

On, który przez całe życie dążył do tego, żeby poznawać, badać, zgłębiać. Wszystko, co jest pod utwierdzeniem, przekłuwać, przebijać, sondować, jako przedmiot iglicą badania, zestawiać i wnioskować. Nie miało być w nim i poza nim nic, czegoby nie znał, nie ujął pincetem, nie rozciął skalpelem, nie rozdzielił mikrotomem i nie określił za pomocą sylogizmu...

On, któremu nienawiść przynosi ulgę, on, czyniący ustępstwa na widok namiętności, on, oszukujący bezwstydnie, mówiąc — nic we mnie z cudzej, narzuconej własności, nic z jakiegokolwiek dziedzictwa — wtedy, gdy w nim właściwie nie było nic swego, nic twórczego, nic szlachetnego!...

On, dusza niewolnicza, pod opieką praw jakichś ciągle się wciskający — on o tyle pozbawiony odwagi zdania swego, swego czucia, swego „ja“, iż nawet w bagnie radby szukać strawy dla swego ducha karlego, byle nie w sobie, nie w sobie — — on paralityk umysłowy, potrzebujący, szukający ciągle oparcia dla swojej myśli spróchniałej, on, noszący się stale z dowodami w kieszeni, niby z paszportem, bez którego nawet o sobie samym mówić by się nie ośmielił — on, najmarniejszy z marnych, w chwilach okropnych, tragicznych jego kochanki, odstępujący od niej, tułający się po Rzymach i fałszujący dokumenty, on komedjant — on — przeklęty!

On, droga do prostytucji —

On, najgorszy z wychowawców!

On, pogrzebany nareszcie „Dziejami Grzechu“.

Jan Bełcikowski.

„BŁOGOSŁAW BOŻE“...

Pan Swiński siedział w swoim kantorze i przeżywał szczęśliwe chwile, a błogość i łagodność były rozlane na jego czerwonej ordynarnej twarzy o biegających złych i podejrzliwych oczach.

Był to ostatni dzień starego roku, i p. Swiński, właściciel niewielkiej lecz dużo i niesmacznie krzyczącej o sobie firmy, otwierał nowe księgi rachunkowe.

Rok zeszły nie był bardzo pomyślny: tu i ówdzie urwała się klientela, zrażona nieścisłem wykończeniem i złym gatunkiem robót; tam nie udało się zbyć popsutego towaru; tu znowu, przy wszelkich zabiegach ze swej strony, nie zdołał p. Swiński dostarczyć tanich gatunków swoich towarów, zamiast droższych, oznaczonych przy umowie,... — słowem rok był niepomyślny i, chociaż przyniósł panu Swińskiemu, jak na tak mały interes, jakim była jego hałaśliwa firma, znaczny dochód, jednak za dużo było krzyków, narzekań, procesów sądowych i nawet energicznych wymyślań od bardzo brzydkich epitetów, na które zresztą pan Swiński patrzył z punktu widzenia surowej filozofji swego stanu, jako na niezbędną okoliczność zawodową.

Teraz rok miał się ku końcowi, i p. Swiński z błogim spokojem i nadzieją patrzył na stos nowych ksiąg kantorowych, do których powinny wpływać przez cały rok długie szeregi liczb, połyskujących złotem, a mieniących się jak tęcza od potu i krwi drobnych, szarych mrówek — tytanów, którym p. Swiński ze ścisłością chronometru potrącał z ich ubogich dochodów ruble i kopiejki, których okradał na minuty i godziny, a które rok po roku budowały dla pana Swińskiego budynek za budynkiem, stawiały mu maszyny i kominy, traciły siły, zdrowie i życie i wyrzucały ze swej krwi, mózgu i mięśni wraz z resztkami sił i chęci do życia, setki i tysiące do banku na rachunek pana Swińskiego.

Pan Swiński otworzył główną książkę obstalunków i na pierwszej karcie wielkiemi literami zaczął pisać:

— Błogosław Boże!

Gdy skończył, podniósł oczy na obraz Chrystusa, który wisiał nad biurkiem i przez chwilę powtarzał:

Błogosław Boże! Błogosław Boże!

A Chrystus w wieńcu cierniowym na skroniach zdumionym wzrokiem zdawał się patrzyć w szare biegające oczy p. Swińskiego i pytać:

— Człowieku!, Jam umarł za zgnębionych duchem i ciałem, za nieszczęśliwych, za niewolników wszystkich krajów i narodów. Jam przelał krew swą ludzką w myśli, że będzie to ostatnia ofiara bogu złego i że odtąd nie będzie płynęła rzeka drogocennej krwi i łez moich braci... Pocóż teraz patrzysz ty na mnie? O co prosisz? Co uczynię ja ukrzyżowany prorok zgnębionych i w niewoli umierających, dla ciebie, człowieku?...

Lecz p. Swiński nie zrozumiał wyrazu twarzy Chrystusa i jeszcze raz szepnął:

— Błogosław Boże!

Nagle drgnął i szybko podniósłszy swoją małą, pękatą, o okrągłym brzuchu figurę, podbiegł do telefonu i zadzwonił...

Już w samym sposobie dzwonienia i pierwszych dźwiękach głosu p. Swińskiego znać było podrażnienie, które lada chwila groziło zmienić się w wybuch:

— Pana rządcę fabryki do telefonu! — rozkazał.

Po chwili ściany kantoru, które tak niedawno jeszcze słyszały nabożne „błogosław Boże“, — odbiły ze zwykłą sobie obojętnością całą kaskadę słów, wykrzykiwanych ochrypłym złym głosem, przerywanym wściekłością i oburzeniem.

— Czy wydalony ekspedytor już się wyniósł z mieszkania? Co? Dlaczego nie?! Jakto nie?!! Niech się natychmiast wynosi!! Co mi do tego? Niech się w tej chwili wynosi dokąd chce, w przeciwnym zaś razie za godzinę już każę wyrzucić rzeczy tego szubrawca i malkontenta za bramę fabryki! Łajdak! Błazen!

Pan Swiński bez pożegnania dał znak końca rozmowy i czerwony, głośno sapiąc usiadł w swoim fotelu, komicznie przewracając i wytrzeszczając oczy i ruszając olbrzymiemi wąsikami.

Nie mówił już słów prośby należnej, nie patrzył na Chrystusa, bo cóż go teraz obchodził ten ukrzyżowany, gdy on, pan Swiński, właściciel firmy, stanął do obrony swojej własności?

— O ludzie! ludzie! — jęknął. — Nie masz na świecie uczciwych!...

Długo nie mógł uspokoić się p. Swiński, chodził po kantorze, przepatrywał książki, leżące na biurku buchaltera, zaklął parę razy, przeczytał zapomniany

przez jednego z oficjalistów list, złajał służącego za to, że nie położył na jakiejś kopercie stempla firmowego, chociaż koperta i sam list pstre były od napisów: L. Swiński w N."; „Dom handlowy, istniejący od 45 lat, a należący obecnie do L. Swińskiego w N." etc.

Ale spokój i równowaga nie powracały.

Nareszcie p. Swiński począł wyliczać jaki zysk można osiągnąć, jeżeli od każdego metra swego towaru on odejmie tylko pół centymetra.

Pozostała śliczna cyfra i to uspokoiło p. Swińskiego, który znowu podniósł oczy na Chrystusa i napisał w jednej z ksiąg:

— Błogosław Boże!

W tej chwili rozległ się dzwonek i gdy służący otworzył drzwi wchodowe, to p. Swiński, nie poznając głosu mówiącego, krzyknął:

— Proś tu gościa, Piotrze!

W przedpokoju ktoś się rozbierał i ciężko oddychał.

Nareszcie rozległy się nieśmiałe kroki i do pokoju gdzie siedział właściciel firmy, wszedł młody człowiek bardzo blady i mizerny i cichym zdławionym od wzruszenia głosem rzekł:

— Panie! Pan mię wyrzucił bez powodu...

— Milczeć, błaźnie! — grzmiącym głosem przerwał mu p. Swiński, — milczeć! Powód — to moja wola, a zresztą pan mi niepotrzebny już jesteś!..

— Rozumiem to — zgodził się młody człowiek— tak mi mówiono, że gdy ja zrobię wszystko, co panu potrzebne, zostanę wyrzucony. Tak mi mówiono o panu... lecz nie wierzyłem. Panie! wszak pan mnie wyrzucił bez uprzedzenia... jam biedny człowiek... mam dwoje dzieci, żonę, matkę..

— Co mi do tego? — krzyknął znowu p. Swiński. — Trzeba być zdolnym, — wtedy nikt by pana nie wyrzucał...

— Pan gdy wymawiał mi wczoraj posadę — to rzekł, żem złodziej i to jest przyczyna wymówienia. Dziś zaś już mowa o niezdolności...

— Tak jest! — huknął p. Swiński. — Pan niezawodnie musiał coś kraść w moim interesie, musisz mieć sporo grosza, bo inaczej nie byłbyś taki hardy, nie skakałbyś mi do oczu, jak jaki pan dumny; narabowałeś sobie pewno grosza u mnie, który szlachetną drogą pracy i obowiązku względem ojczyzny, społeczeństwa i kościoła zdobył wszystko, co posiada, który stał się przemysłowcem, obywatelem...

Tu p. Swiński tak się uniósł swoją wymową i tak się zasłuchał w niej. że zaczął mówić o sobie takie rzeczy, które wywołały uśmiech litości i pogardy zarazem na zczerniałej zbiedzonej twarzy eks-ekspedytora, który nareszcie przerwał p. Swińskiemu:

— Panie! — zawołał — może pan przy świadkach powtórzy żem złodziej, — wtedy przynajmniej sąd dowiedzie, żem uczciwy, a pan...

— Won! — zaryczał Swiński — Won! Chciałbyś, żebym przy świadkach ci to powtórzył?! Won! niema głupich!...

Lecz p. Swiński nagle przerwał potok swoich wymownych frazesów gdy uważniej spojrzał w oczy młodego człowieka. W oczach tych było ciemno i zimna pogarda patrzyła z nich.

Po chwili p. Swiński spokojnym już na pozór głosem powiedział:

— Dobrze! do jutra masz pan czas, ale jutro pan musi opuścić mieszkanie, gdyż ono potrzebne będzie dla zastępcy pana... Ale panie... uspokój się pan... i pamiętaj, że mam w kieszeni rewolwer!...

Przy tych słowach p. Swiński szybko wyjął z kieszeni kamizelki mały rewolwer i jął się niespokojnie przyglądać gościowi.

A ten pohamował wzruszenie, westchnął głęboko i wycedził przez zęby:

— Oj, Swiński... gdyby nie ci czworo, co jutro głodni będą...

I cicho wyszedł i cicho drzwi za sobą przymknął.

W godzinę później p. Swiński, już uspokojony, siedział w kantorze i do czwartej księgi wpisywał tradycyjne „Błogosław Boże!" i na Chrystusa spoglądał i coś szeptał, czy modlił się, czy coś rachował?

Gdy już do siódmej księgi wpisał te słowa i oczy pełne wiary podniósł na obraz Chrystusa, w tym czasie z domu wychodził ekspedytor i mówił do starej matki:

— Pójdę, matko, do Nikciewicza. Może on da nam od jutra przytułek, wszakże kiedyś i my mu dopomogliśmy. Niech matka uspokoi Ankę... niech powie, że pewno znajdę robotę, że dobrze nam jeszcze będzie... wszystkim...

Staruszka głową skinęła pokornie i szepnęła:

— Błogosław Boże!

Głos jej był pokornie ponury, a w suchych starych oczach nie było wiary...

Antoni Ossendowski.

ECHA.

W dziennikarsko-parlamentarnych sferach petersburskich zaszedł w tych dniach wypadek sam przez się nie mający szerszego znaczenia, ale charakterystyczny dla stosunków i nastroju opinji.

Od pewnego czasu toczyła się polemika między gazetami *Riecz* i *Ruś*, z których pierwsza zarzucała *Rusi* niezupełnie poprawne zachowanie się względem niektórych banków i towarzystw kredytowych; gazeta niektóre reklamowała, przeciw innym prowadziła systematyczną nagankę, a jednocześnie współpracownicy jej zgłaszali się do różnych banków z propozycjami udzielania im kredytu.

Na zarzuty te *Ruś* ani sama zadawalniających wyjaśnień nie dała, ani, jak oczekiwano, nie wytoczyła *Rieczi* sądowego procesu. Natomiast dwaj jej współpracownicy zjawili się w mieszkaniu kierownika *Rieczi*, Milukowa i jeden z nich pobił go pięściami.

Fakt ten wywołał powszechne oburzenie. Koledzy Milukowa nietylko z opozycji, ale i jego przeciwnicy polityczni, jak październikowcy i członkowie prawicy, pospieszyli, ażeby wyrazić potępienie brutalnego czynu.

Riecz pisała:

„Nie wątpimy, że opinja publiczna, opinja ludzi kulturalnych wypowie się jednomyślnie w tej sprawie i we właściwy sposób napiętnuje ten sposób samosądu, do którego uciec się mogą osobniki z pośród *moralnych szumowin społeczeństwa*. Samo się przez się rozumie, że takie zajścia mogą znaleźć należyte rozwiązanie jedynie przed sądem karnym".

Jakoż rzeczywiście dziennikarze petersburscy na zwołanem umyślnie zebraniu wykluczyli na zawsze z grona swego napastników i powzięli uchwałę, ażeby nadal usuwać z pośród siebie każdego dziennikarza, uciekającego się do rozpraw na pięści, oraz bojkotować dzienniki, które tolerować będą podobne postępki swych współpracowników.

Pod naciskiem opinji *Ruś* udzieliła oficjalnie dymisji obu współpracownikom i oświadczyła w artykule, że nie solidaryzuje się z ich postąpieniem.

Tak się zachowała opinja i prasa nad Newą. A u nas?

U nas ludzie, którzy polemiki literackie kończyli rozprawą na pięści i ulicznikowską napaścią na swych przeciwników, czyli, jak się wyraża *Riecz*, „moralne szumowiny społeczeństwa", nie przestają cieszyć się ży-

czliwem pobłażaniem prasy, pisują w poczytnych dziennikach i nawet zajmują urzędy w „Kasie Literackiej“.

Co kraj — to inne pojęcia o „godności prasy“.

A.

Z TEATRU.

Matka i Córka (Miquette et sa mère), komedja w 3 aktach R. de Flersa i de Caillaveta. (Teatr Mały).

W sezonie zimowym wystawił Teatr Mały 8 sztuk oryginalnych Z wyjątkiem tryumfującej „Moralności Pani Dulskiej“ żadna nie utrzymała się dłużej na scenie.

Teatr polski liczyć się musi z faktem, że twórczość oryginalna nie wystarcza. Trzeba sięgać po autorów cudzoziemskich.

Kiedy chodzi o wybór — rzecz pewna, że sztuki skandynawskie, holenderskie, rosyjskie i angielskie wywierają na widzów polskich wpływ głębszy, niż francuskie. W sztukach tych narodów są zazwyczaj dwie niezbędne dziś wartości: ból i walka. Tętnią w nich pulsowania niespokojne, plączą się zagadnienia, świta przyszłość. Budzą nieraz sumienie... Czasem zrywa się w nich do lotu bohaterstwo. Wyrażają one stan psychiczny pokrewny naszemu: rozterkę, poszukiwanie, nadzieję, upadek, wzlot...

Natomiast repertuar francuski, przekładany i wystawiany u nas, jest pustym. Trójkąt małżeński, cierpienia egotyczne, połyskiwanie słowami, wreszcie... poprawność formy...

Zalew francuski nie daje nic duchowi. Dla aktorów jest areną błyskliwych popisów, a publiczność przyzwyczaja do szukania w teatrze uciechy z miałkiego dowcipu.

Powadzenie, jakiem się cieszą salonowe komedje i farsy francuskie, opiera się na gustach bardzo licznej półinteligencji. Mogą one zapełniać kasę, lecz odbierają teatrowi charakter i znaczenie czynnika kulturalnego.

Moralność nie może się opierać na pojęciach półświatka, a sztuka na gustach i półinteligencji.

Farsa dwóch filuternych gallów de Flersa i de Caillaveta skrzy się lekkim sarkazmem... Jest dowcipna, żywa, ale nic po-nadto. Ani myśli, ani przenikliwości twórczej, ani figur ciekawych i oryginalnych. Naiwnych panienek w rodzaju młodej szczebiotliwej Miquetty widziano już tyle na scenach i tak dobrych, że zobaczenie jeszcze jednej niema znaczenia. Tak samo jest z nieśmiałym narzeczonym hr. Urbanem, tak samo z markizem de la Tour i panię Grandier. Nie obchodzą one ani trochę inteligentnego widza. Innem żyjemy życiem i innemi zaprzątnięci jesteśmy zagadnieniami. Filuterność francuzów, ich połyskiwanie pawiemi piórkami, łaskotanie widzów dowcipami obok zupełnej jałowości społecznej i filozoficznej sprowadza po wyjściu z teatru czczość i przygnębienie.

Pomimo swej sielankowej niewinności sztuka typowo-oportunistyczna. Nic się tu nie utrzymuje, niczego nie żąda, nikogo nie udręcza i nie wstrząsa...

(To też w obozie oportunistów wywołała spazmy do zachwytu...)

Słowem: filuterność gallijska nie może wystarczyć. Trzeba godniejszych wartości... Prawdziwych starć i namiętności i prawdziwej poezji, płynącej z głębszego wejrzenia w człowieka.

Dlatego z prawdziwem zadowoleniem powitać trzeba zaangażowanie do Teatru Małego p. Adwentowicza i zamiar wystawienia szeregu sztuk rzeczywistej wartości.

Będzie to pewnego rodzaju wyzwanie, rzucone półinteligencji warszawskiej, a zarazem wezwanie aby teatrem zajmowała się inteligencja. *Leon Choromański.*

NA WIDNOKRĘGU.

Przeprowadzka „Polaka-Katolika“ do Warszawy. — Towarzystwa opieki nad dziećmi. — Barbarzyński „chlebodawca“.

W Lublinie zaszedł fakt dużej wagi dla tego miasta. Po dwuletniej działalności osławiony „Polak-Katolik“, redagowany przez osławionego ks. Kłopotowskiego przeniósł się do Warszawy, aby tu, podobnie jak i w Lublinie, wychodzić w dalszym ciągu codziennie.

Już „Rola“ kilkakrotnie sygnalizowała o tem, twierdząc niezbicie, że będzie to jedyny organ wolny od masońskich i żydowskich wpływów. Rekomendacja tego rodzaju jest najlepszym probierzem plugawej wartości pisemka, mimo to jednak „Polakowi-Katolikowi“ godzi się ze wszech miar, wobec zajęcia nowej „placówki“ poświęcić nieco miejsca. Istnienie tego rodzaju „organu“ jest czemś rzeczywiście szczególnem nawet i w naszych ekstrawagancyjnych stosunkach, gdzie niczemu już dziwić się niepodobna. To już najzupełniejsze suteryny myśli, dno nędzy duchowej, skąd niewielki już przeskok prowadzi do literatury pogromowej. A przeskok to tak niewielki, iż częstokroć przy czytaniu „Polaka-Katolika“ doznaje się wrażenia, iż różnic tych niema zupełnie. „Organ“ bogobojnego kapłana to typowa mięszanina klerykalnej perfidji, bezkrytycznej głupoty, świadomego swych dróg i celów cynizmu, bezwzględnej ignorancji naukowej i szarlatańskiego fanatyzmu religijnego, uciekającego się do ogłaszania operetkowych cudów. Insynuacje, obelgi i fałsze, nie cofające się nawet przed pospolitem delatorstwem — jak np. w sprawie d-ra Rudzkiego — były stałym pokarmem „Polaka-Katolika“, którym karmiono bez przerwy czytelników pisemka. Nie było takiej inicjatywy społecznej w Lublinie, której ks. Kłopotowski nie starałby się obryzgać błotem, oczywiście o ile twórcami tego nie byli księża.

Posłuchajmy tylko co pisze „Kurjer Lubelski“ z powodu wyjazdu „patryjarchy“ wstecznictwa lubelskiego:

„Dusza „Polaka-Katolika“ to odstraszający obraz zdziczenia naszej kultury — to w naiwnej szczerości naga dusza Watykanu. I jeśli z jednej strony jest ona wstydem stanu naszej oświaty, to z drugiej strony dobrze się stało, że ukazała się ona w całej swojej bezwstydnej nagości — gdyż pod tą chorągwią zwycięstwa być nie może.

To też pobitym, zdystansowanym i zdyskredytowanym opuszcza ks. Kłopotowski nasz Lublin — a cała prawie ludność odetchnęła, iż to źródło nienawiści, waśni i kłótni nareszcie nas opuściło“.

„Może szersza arena życia — czytamy w innem miejscu — otworzy księdzu Kłopotowskiemu oczy i każe żałować tego posiewu niezgody, jaki siał w ciemnych masach“.

Zdaje się, że optymizm „Kurjera“ należy zaliczyć do kategorji płonnych nadziei, gdyż niewątpliwie owa szersza arena okaże się w rzeczywistości ciasnem korytem, pełnem brudnej wody.

Warszawski „Polak-Katolik“ może stać się tylko ciemniejszym od swego poprzednika, według wszelkiego prawdopodobieństwa bowiem, będzie on codziennym organem związków katolickich, przeznaczonym dla ogłupiania szerokich mas i popularyzowania fanatycznych idjotyzmów.

Potrzebę takiego organu związki te odczuwają już oddawna — gdyż jak to już kilkakrotnie wskazywaliśmy na tem miejscu — wielebne duchowieństwo przygotowuje się coraz bardziej do stoczenia walki o władztwo duszy ludu — ze zwolennikami kierunku narodowo-demokratycznego...

Biedny lud! — gotów powiedzieć tem i ów. Ku pociesze jednak dodać możemy że wyrażanie tego rodzaju współczucia jest najzwyklejszym sentymentem literackim, gdyż lud w zapasach tych da sobie radę. Pójdzie swoją drogą, jak to się stało w Galicji...

„Głos Zagłębia“ doniósł niedawno, iż w Zawierciu organizuje się obecnie gniazdo Towarzystwa opieki nad dziećmi.

Potrzeba zakładania tego rodzaju gniazd jest rzeczą wagi pierwszorzędnej, a prasa prowincjonalna, występując z inicjatywą, mogłaby w tym kierunku zdziałać bardzo wiele. Stosuje się to szczególniej do miejscowości fabrycznych, gdzie częstokroć panują stosunki, jakby na plantacjach afrykańskich.

Prawdziwość słów powyższych stwierdza między innemi korespondencja z Nowo-Mińska, zamieszczona w jednym z ostatnich numerów „Promienia“.

„Nie wszystkim może wiadomo, — czytamy — że w kraju naszym istnieją fabryki, produkujące tylko przy pomocy nieletnich robotników, pracujących 14 godzin dziennie. Takie opłakane stosunki panują u nas w fabryce maszyn i narzędzi rolniczych B-ci Szulc. W fabryce tej pracuje 25-ciu chłopców i 5-ciu dorosłych robotników czeladników. Praca od roku przeszło została przedłużoną z 10-ciu na 11-cie godzin, lecz przez całą zimę zmuszano chłopców do 13-to lub 14-to godzinnej pracy. Czeladnicy zarabiają wszystkiego 75 — 90 kop. dziennie, chłopcy zaś 30 — 40 k. Pracujący w tej fabryce chłopcy nie posiadają wcale książeczek zarobkowych. Fabrykant obchodzi się z nimi wprost strasznie: bije, kopie, nakłada kary, przewyższające często głodowe zarobki“.

O ile interwencja Towarzystwa opieki nad dziećmi jest w tym wypadku najzupełniej wskazaną, o tyle z drugiej strony nad tego rodzaju „chlebodawcami“ winno rozciągnąć swą pieczę Towarzystwo opieki nad zwierzętami.

Asper.

RUCH ROLNY WE WŁOSZECH.

We Włoszech przeważa przemysł drobny;*) na jeden zakład przemysłowy przypada przeciętnie 11 robotników; wielki przemysł skupiony jest w kilku zaledwie okręgach przemysłowych, przeważnie we Włoszech północnych, w Lombardji, gdzie na jedną fabrykę przypada z górą 20 robotników.

W prowincjach południowych kwitnie jeszcze przemysł domowy, przeważnie tkactwo. Zresztą chałupnicy nie zrywają z rolnictwem, którem zajmuje się $^2/_5$ całej ludnosci włoskiej. Chałupnictwo ich wywołane jest koniecznością szukania zarobków postronnych wobec małej wydajności ziemi, uwarunkowanej złą uprawą: podczas gdy we Francji urodzaj zbóż wynosi 15 hektolitrów z hektara, w Niemczech 20, a w Anglji 27, we Włoszech wynosi on zaledwie $10^1/_2$ hektolitra.

Płaca zarobkowa we Włoszech jest jedną z najniższych w całym świecie cywilizowanym: najwyższe wynagrodzenie nauczyciela ludowego wynosi we Włoszech 1,320 lirów t. j. około 500 rubli.

*) A. Labriola „Położenie klasy robotniczej we Włoszech“.

Jeśli tak nisko opłacana jest praca „inteligenta“, to cóż dopiero mówić o pracy robotników.

Labriola przytacza następującą tablicę porównawczą płacy zarobkowej we frankach (na dzień):

	Włochy	Francja	Anglja
Mularze	2,75	4,30	7,90
Cieśle	3,00	4,00	7,65
Rob. rolni	1,15	2,65	2,75
Tkacze	1,10	2,10	2,50

Dzień roboczy wynosi we Włoszech, według obliczeń Labrioli, przeciętnie 11 godzin, dochodzi jednak do 14-17 godzin dla robotników przemysłowych do 19-20 godzin dla robotników rolnych.

Proletarjat przemysłowy wynosi we Włoszech 5% ogółu ludności; ta okoliczność z jednej strony, a z drugiej nadmiar t. zw. inteligentów niemogących znaleźć „odpowiedniej“ pracy — doprowadziły do tego, że pierwszy okres ruchu robotniczego we Włoszech nosił czysto inteligencki charakter i była to armja bez żołnierzy, armja, której oficerowie rzadko stali na wysokości zadania: zdeklarowana burżuazja inteligentna mieszała pozytywizm, darwinizm i marksizm; dochodząc w bezkrytyczności do kreowania ultra burżujskiego Spencera na filozofa socjalizmu. Marksa do ostatnich czasów zapoznawano, a raczej nie mając jego dzieł, przypisywano mu rzeczy wprost sprzeczne z jego teorją.

Socjalizm we Włoszech, szczególniej wśród włościan i inteligentów, jest więcej utopijny niż naukowy.

Inaczej rzecz się ma z ruchem czysto robotniczym we Włoszech: wśród robotników ruch zaczął się koło r. 1840, były to jednak tylko nieśmiałe próby, więc też nie miały one żadnych pozytywnych wyników. Ruch masowy zaczyna się dopiero około 1880, wtedy robotnicy medjolańscy zdołali skupić się w jednej partji robotniczej stojącej na gruncie walki klasowej, dalekiej jednak od naukowego marksizmu, należeli do partji tej i socjaliści, i anarchiści i radykali burżuazyjni; a kongres neapolitański partji tej w r. 1890 ogłosił rezolucję, która sankcjonowała prawo własności prywatnej. Dopiero na kongresie odbytym w r. 1892 w Genui nastąpiło zerwanie ostateczne pomiędzy anarchistami, radykałami i socjalistami, którzy dopiero po zerwaniu utworzyli dotychczas istniejącą partję, stojącą na gruncie naukowego socjalizmu.

Czas założenia partji socjalistycznej we Włoszech zbiegł się z okresem, w którym Włochy powoli zaczęły przychodzić do siebie po następstwach wprowadzonego w r. 1887 systemu protekcyjnego, przy zupełnym prawie braku rynku wewnętrznego. Rozpoczął się okres ożywienia przemysłowego, który nie mógł pozostać bez wpływu na rozwój organizacji zawodowych. Zaczęto zakładać „kasy oporu“, które z powodzeniem przeprowadzały strajki (na 100 strajków wygrywano przeciętnie 60).

Mimo to, ruch czysto robotniczy nie mógłby we Włoszech (wobec pierwotnego stanu przemysłu) stać się taką siłą, jaką jest obecnie, gdyby nie pomoc ze strony związków robotników rolnych. W r. 1905 na kongresie w Genui reprezentowanych było 704 związki robotników rolnych, liczących kilkaset tysięcy członków. Ten to potężny ruch robotniczy w rolnictwie włoskiem wywołał zjawisko, jakie widzimy we Włoszech Północnych obecnie: starcie robotników rolnych z obszarnikami. Publicysta włoski Luigi Berta uważa ruch ten za „najważniejszy epizod walki klasowej włościan włoskich“. Prowincja Parmy, w której wypadki te się rozgrywają, liczy 50 kommun z 300,000 mieszkańców; bydło tej prowincji cenione jest na 100 miljonów rubli; pozatem szeroko rozwinięte jest tam mleczarstwo, hodowla buraków i jedwabnictwo.

Pierwszy strajk rolny wybuchnął w r. 1901 i skończył się niepowodzeniem; przez 6 lat potem robotnicy

rolni prowincji Parmy zajęci byli pracą organizacyjną pod kierunkiem socjalistów i syndykalistów; tworzono kooperacje i syndykaty, prawie nie dotykając obszarników i fabrykantów, gromadzono siły. Włościanie łączyli się w ligi, które w maju r. z. — poczuwszy twardy grunt pod nogami — rozpoczęły ten ruch rolny, który, to wzmagając się, to przygasając, doszedł do szczytu właśnie w chwili obecnej.

Robotnicy rolni ogłosili strajk powszechny; po 3 dniach obszarnicy ustąpili; zawarto umowę, której istota była następująca: określono minimum płacy zarobkowej, wprowadzono 8-godzinny dzień roboczy, rozstrzygnięto sposób przyjmowania i usuwania robotników, wprowadzono sąd rozjemczy.

Oczywiście obszarnicy nie mogli nie myśleć o odwecie; zorganizowali się w „assocjację rolną“ i czekali tylko powodu, aby wypowiedzieć wojnę robotnikom. Powodu dostarczył wypadek następujący: przed trzema miesiącami we wsi Noceto pod Parmą wynikł spór pomiędzy obszarnikiem Fornarim, a jego robotnikami. Fornari twierdził, że robotnicy nie wchodzący w skład ligi, mogą pracować 10 godzin, chociaż w umowie jasno było powiedziane, że 8-godzinny dzień roboczy rozpościera się na wszystkich robotników. Robotnicy żądali, by Fornari ściśle trzymał się umowy, a Fornari twierdził, że 8-godzinny dzień roboczy obowiązujący jest tylko dla ligistów. Dla rozstrzygnięcia tej sprawy Fornari chciał zwrócić się do sądu rozjemczego, robotnicy jednak odmówili na tej zasadzie, że umowa jest jasna, że Fornari przeciwko niej wykroczył.

Gdy robotnicy odmówili oddania sprawy sądowi rozjemczemu, Fornari oświadczył, że robotnicy sami wykroczyli przeciwko umowie, że więc on będzie przyjmował tylko tych robotników, którzy zgodzą się pracować 10 godzin. Było to czemś w rodzaju wypowiedzenia wojny: niezwłocznie giełda pracy w Parmie ogłosiła bojkot Fornari'ego i zakazała swym członkom pracować u niego; assocjacja rolna znowu ogłosiła lokaut w całej prowincji i pozbawiła pracy 26.000 robotników. Syndykaty robotnicze zaczęły wysyłać tych robotników do Niemiec i Szwajcarji, aby choć częściowo osłabić ostrość bezrobocia, srożącego się już 3 miesiące.

Obszarnicy znów, chcąc jednak załatwić się z robotami w polu, zaczęli organizować oddziały łamistrajków i ochotników z synów burżuazji rolnej i miejskiej.

Próby pojednawcze, przedsiębrane przez posłów burżuazyjnych nie miały wpływu na bieg spraw, owszem zaostrzyły walkę; 1 maja r. b. ogłosiły organizacje robotnicze strajk powszechny i postawiły nowe żądania: zmniejszenie o jedną godzinę dnia roboczego i podwyższenie płacy zarobkowej.

Ze swej znów strony organ obszarników, „Gazeta Parmeńska“, pisze: „Uzbrajajcie się, właściciele i kupcy; uzbrajajcie się, jeśli chcecie być silnymi i wolnymi; uwidoczniło się, że tylko rozruchy doprowadzą do porządku, którego pragnie Parma“.

Właściciele składów broni w Parmie oświadczyli, że nigdy nie sprzedawali tyle broni co obecnie; wyłącznie kupują broń obszarnicy rolni.

W odpowiedzi na zbrojenie się obszarników włościanie zapowiedzieli, że używać będą t. zw. „sabotazu“ t. j. umyślnie psuć będą majątek obszarników, w danym wypadku bydło.

Dotąd środek ten nie jest jeszcze stosowany, ale walka się przeciąga, a rozgoryczenie wzrasta.

Dwa światy, dwie klasy społeczne stoją naprzeciwko siebie w zbrojnem pogotowiu...

P. W.

KRONIKA.

Wskutek skargi wniesionej przez studentów rusinów przeciwko Henrykowi Sienkiewiczowi o obrazę honoru ich w artykule „Die Zeit“, sąd przysięgłych w Wiedniu skazał go na 300 koron grzywny. H. Sienkiewicz popełnił niezręczność, iż opierając się na wiadomościach lwowskich dzienników, w artykule swym zamieścił niektóre niezgodne z rzeczywistością szczegóły o strajku głodowym studentów, uwięzionych za awantury w uniwersytecie i pobicie profesora.

— Zarząd warszawskiej akcyzy zamknął w kilkunastu miejscowościach sklepy monopolowe, ponieważ zbyt małe targi nie opłacały kosztów; projektowane jest jeszcze zamknięcie 30 sklepów.

— Zawieszono pismo ludowe „Siewbę“.

— W Częstochowie zastrzelono na ławce w Alei dwóch robotników, podejrzanych podobno o szpiegostwo.

— Aresztowano kilku współpracowników i współpracowniczek firmy B. Herse. Aresztowań dokonano w mieszkaniach współpracowników. Podobno aresztowania te pozostają w związku z zaniechaniem pracy 1 maja r. b.

— Sąd wojenny w Petersburgu sądził sprawę lotnego oddziału bojowego partji socjalistów-rewolucjonistów. Przedsięwzięte zostały zarządzenia nadzwyczajne w celu uniemożliwienia ucieczki podsądnym. Cały gmach sądowy otoczony był przez policję. Środków takich oddawna już nie praktykowano nawet przy wielkich procesach politycznych. Rozprawy odbywały się przy drzwiach zamkniętych. Na ławach oskarżonych zasiedli: Albert Traubenberg, Helena Iwanowa, Schönberg, Teodor Masokin, inżynier Anatol Biełocerkowiec, Emma Rezowska, Marja Iwanowa i jej syn Mikoła Iwanow, żona lekarza, członka pierwszej Dumy Matriona Korniliewowa, Daniel Wietługin i Wiaczesław Burygin.

Akt oskarżenia głosił, że podsądni zorganizowali w latach 1906 i 1907 stowarzyszenie w celu zamordowania głównego prokuratora, Pawłowa, naczelnika więzienia pułkownika Iwanowa, naczelnika głównego zarządu więziennego, Maksimowskiego, i ministra sprawiedliwości, Szczegłowitowa. Część zamierzonych aktów terorystycznych udała się, innym zaś zdołano zapobiedz. Duszą stowarzyszenia był Traubenberg, znany w partji pod nazwą „Karola“ i „Iwana Iwanycza“. Organizacja została wykryta wskutek aresztowania jednego z podsądnych na pogrzebie Maksimowskiego, który chciał skorzystać z tej sposobności, żeby dokonać zamachu na ministra sprawiedliwości, Szczegłowitowa. Główna siedziba organizacji znajdowała się w Finlandji, w Kellomingach. Podczas rewizji u podsądnych znaleziono materjały wybuchowe, korespondencję i fotografie.

Z 11 podsądnych czterech skazano na powieszenie 2—na 15 lat ciężkich robót, 2—na 10 lat, 2—na osiedlenie: jedną podsądną uniewinniono.

— *Ruś* donosi, że policja „ochrany“ podczas licznych rewizji i aresztowań w ostatnich dniach wykryła nową organizację rewolucyjną w Petersburgu, pozostającą w stałym kontakcie z kółkami rewolucjonistów moskiewskich. Aresztowano 17 osób. Są to studenci, nauczyciele ludowi i 5 kobiet.

ODCZYTY.

W niedzielę d. 31 b. m. o g. 12-ej prof. Jakób Lewkowicz wygłosi w sali Stow. Techników odczyt na temat „Filozofja a życie“. Bilety w cenie od 20 kop. do 75 nabywać można w księgarni Centnerszwera, a w dzień odczytu od g. 11-ej w kasie Stow. Techników.

— W czwartek d. 4 Czerwca w sali Muzeum Przemysłu o g. 8 w. J. Wł. Dawid wygłosi odczyt p. t. „O tłomaczeniu snów ze stanowiska naukowego“. Bilety od 20 kop. do 75 kop. do nabycia w księgarniach i przy wejściu na salę.

Redaktor i Wydawca *Antoni Miller*. Druk E. Skowrońskiego, Nowy-Świat. 43.